

Powieść współczesna... czyli *Niepokorny* z *Côte d'Azur*

(Dokończenie ze strony 3)

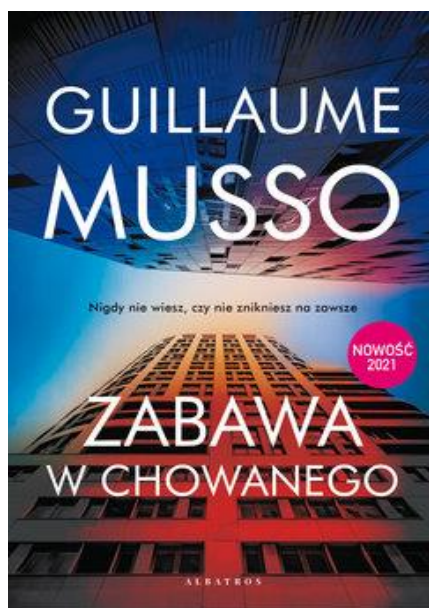
procentową słuszość. Ulysses powstał sto lat temu. Minęło sto lat, to przecież kawał czasu. Jesteśmy już innymi ludźmi, innym społeczeństwem. Z inną mentalnością, innymi oczekiwaniami (też literackimi) i innymi hierarchiami wartości. Czy dziś mógłby powstać Ulysses? Tak, z pewnością, tylko ktoś by go czytał? Może postawmy to pytanie inaczej. Czy dzisiejszy Ulysses odniósłby jakikolwiek sukces? Tak jak sto lat temu książka James Joyce'a? Nie sądzę. Czy mamy dziś nastrój, klimat i właściwą atmosferę – czy choćby refleksyjność współczesną na taką książkę jak „W poszukiwaniu straconego czasu” Prousta? Czy ktoś dzisiaj poświęci czas na siedem tomów lektury i setki godzin rozważań? Czy jest to w ogóle możliwe? Ludzie mają problemy z przebrnięciem Tokarczuk czy Myśliwskiego, a cóż powiedzieć o Prouście czy Joyce? Wiem, znajdziemy jeszcze kilku jaskiniowców lubiących się zagłębić w te dzieła, ale to nie wyznacznik społeczny. To dinozaury. Świat wymarły. Fatamorgana.

Gdzie zatem jeszcze szukać dzieł, (jeśli nie arcy-dzieł, bo to wyjaśni czas i historia), zwyczajnych dzieł współczesnej literatury? Czy takimi dziełami będą książki Musso? Czy mają szansę? Wydaje się, że nie, ale może coś przegapiliśmy, może gdzieś się zagubiliśmy w ocenie literatury, w krytyce literackiej, w całym życiu i świecie literackim? Może tutaj dopatrzmy się owego rozmijania oczekiwań skostniałej krytyki literackiej (akademickiej) i społecznego zapotrzebowania na nowo skrojoną literaturę głębszą? Może nam umknął jakiś element tej układanki, który spowodował, że pisanie musi się zespolić z oczekiwaniem społecznym na... dobrą książkę, na dobrą literaturę, dobrą – czyli jaką?

Graham Green latami dzielił swoje powieści na dwie kategorie: poważne dzieła prozatorskie jak „Moc i chwała” (1940) oraz książki rozrywkowe czyli historie szpiegowskie i thrillery, takie jak „Broń na sprzedaż” (1936), które jego zdaniem mogły się krytykom nie spodobać. U schyłku życia odpuścił sobie taką kategoryzację, a ja zapytam kto dziś w ogóle sięga po Grahama Greena? A szkoda, bo również warto. Fakt pozostaje faktem. Style podzielono na wysoki i niski. Tyle, że dziś obydwa style sięgnęły w jakimś sensie bruku i wyrównał je drastyczny spadek czytelnictwa preferując w miejsce kategoryzacji po prostu czytanie czegokolwiek i to staje się stylem obowiązującym. Kategoria wysokości ustąpiła miejsce kategorii społecznej zainteresowania w ogóle, czyli przy najmniej rozpoznawania autora w tłumie znanych z tego, że są znani. Autora książek. Może zatem książka sprawnie napisana, niosąca za

sobą coś więcej niż rozrywkę, coś więcej niż spędzenie czasu, niosąca ze sobą głębszą myśl, refleksję, namysł nie tylko nad opowiedzianą historią, ale i nad jej wydźwiękiem, nad jej sensem i nad nauką z niej dla nas płynącą już jest, albo stanowi książkę, ponadprzeciętną – kiedyś, w przyszłości, potencjalne dzieło? Tego nikt nie wie. Na szczęście. I dzięki temu na szczęście literatura nadal żyje.

W dzisiejszym świecie do głosu doszedł pogląd, że podział na style w literaturze to anachronizm. Analizy twórczości kilku autorów powieści detektywistycznych minionego wieku spowodowała, że uznaje się te powieści za w mniejszym stopniu oparte na wątku kryminalnym, a w większym na skoncentrowaniu na motywach i życiu wewnętrznym bohaterów. Dziś te powieści stały się dla współczesnych trudne w odbiorze. Krytycy i akademicy mogą się na to obrazić, ale ciężko polemizować z faktami. Możemy w tym kontekście wysnuć wniosek, że dzisiejsza literatura powinna się chyba zająć nie poszukiwaniem dzieła, arcydzieła, czy właściwej formy powieści, a bardziej na analizie samego czytelnika, na ustaleniu: kim on jest i co sobą reprezentuje, czego oczekuje, jaka jest jego konstrukcja, i skąd się to w ogóle bierze?



Nie chodzi mi tu o rewolucjonizowanie literatury, o zaniżanie jej poziomu, stylu i wartości jaką za sobą niesie. Chodzi mi jedynie o poddanie do dyskusji tego, że współczesny czytelnik stał się kimś zupełnie innym niż sto lat temu. Ewoluuje szybciej i drastyczej niż akademicy, krytycy i wszelkiej maści dinozaury – fachowcy. Jest oczywistym fakt, że autor pisze, gdyż ma taką potrzebę, a nie pisze dla (poklasku) czytelnika, ale jednak warto wyciągnąć wnioski z następnych analiz i ocen rynku księgarskiego, z analiz społecznych i jeśli ma być jeszcze w ogóle jakakolwiek dla literatury przyszłość poddać się choćby w jakimś stopniu tej refleksji. Autor nie działa bowiem w próżni. Literatura ma opowiadać opowieści, ma być i pozostać też sztuką. Jak pogodzić dziś te dwa jakże trudne wyzwania, których jądra odeszły od siebie dość daleko. Mam na myśli zestawienie

tęgo: jakich opowieści łaknie dziś społeczność, a dokąd zaszła sama sztuka. To wydają się antypody istoty i wydźwięku problemu. Logika walcząca z abstrakcją. W kleszczach takiego dylematu znalazły się dziś: zarówno sztuka jako taka, ale i literatura jako idea opowiadania opowieści.

Kończąc ten powieściowy thriller wywodu chcę powiedzieć, że być może my, zarówno twórcy jak i odbiorcy literatury starej daty, niejako konserwatyści problemu nadal czekamy na nową „Ziemię obiecana” nie dostrzegając jej we własnie wydawanych powieściach. Tak naprawdę nikt już nie napisze żadnej Ziemi obiecanej, może co najwyżej obiecać... Ziemię nową, na której taki dla przykładu Guillaume Musso napisze kolejną zwinną, świetną powiastkę, w której zada wiele wciągających, wnikliwych pytań, zakpi z poprawności politycznej, ośmieszy kabotynów i da nam jednak kawał niezłej literatury, którą być może przegapiamy czekając na swojego wysublimowanego Godota.

Musso zrobił to w „Zjeździe absolwentów” perfekcyjnie. Pierwszoosobową narracją opowiedział kryminalną historię nie tylko o konkretnych ludziach i ich losach, wyrafinowanie odkrywając przed nami kolejne warstwy suspense, ale jednocześnie barwnie nakreślił swoją obserwację całego francuskiego społeczeństwa, pełen wachlarz dziwołogów i wykołajeńców ubranych w szaty ludzi zwyczajnych, ludzi wpłątanych w losy każdego z nas, z namiętnościami, oczekiwaniami i marzeniami, z dziwnym systemem wartości, który finalnie kłania się przeszłości jako dawno odeszłemu dobremu światu, który był doprawdy niezły, ale go doszczętnie oszpeciliśmy swoim znudzeniem i tym, że wszystko już było i należy wymyśleć... coś innego.

Mówiąc po ludzku. Musso zrobił to po prostu lepiej niż Netflix, w którego każdym filmie musi wystąpić postacie: dobrego geja, szlachetnego geja prezydenta. Musso wypowiedział się, że owszem, najbardziej na świecie (oprócz opowiedzianej opowieści) szanuje właśnie wszystkich gejów, ale czasami, to jednak woli takich staromodnych facetów, nieco zwierzęcych, seksistowskich i prymitywnych, ze staroświeckimi: honorem i ideami, bo tylko oni mogą Tobie (i innym) w sytuacji krytycznej uratować życie.

W innej z kolei książce stwierdza, że jak uczą wszechobecni dziś terapeuci (niezbędni współczesnemu człowiekowi, aby żyć to kiedyś czuliśmy współczucie dla najbardziej potrzebujących, ale psycholog współczesności podważa tę postawę, dość dziwnie to uzasadniając: współczucie sprawia, że stajesz się podatny na emocje, więc słaby; aby osiągnąć coś w życiu, trzeba myśleć przede wszystkim o sobie. No i taki świat nam stworzono. Świat samych myślących o sobie. Potworne. I do bólu prawdziwe.

Jakież to ta nieszczęsna literatura roztacza przed nami nowe ścieżki doznań, nieprawdą? Do póki jej nie zakażą zawsze będzie niosła niepokój i ferment. Potworne. Czego Wam i sobie życzę.

Zamiast Netflixa.

Andrzej Walter